365

ARCHEOLOGIA PAMIĘCI

Gniezno

2022

tekst i zdjęcia

Krzysztof Szymoniak

365 ARCHEOLOGIA PAMIĘCI
Gniezno 2022

© tekst i zdjęcia – Krzysztof Szymoniak
© Biblioteka Publiczna Miasta Gniezna

Wszystkie fotografie Gniezna umieszczone w tej książce
zostały wykonane w latach 2010-2017

Fotografia trwale dotyka rzeczywistości, a ślady naszego patrzenia znikają w niepamięci.

Sławomir Kuszczak
Segregator obecności. Codzienność. Monochrom
Wydawnictwo UAP, Poznań 2019, s. 31

K w i e c i e ń

91 (1 kwietnia, piątek)

Zanim wybuchła wojna polsko-jaruzelska, czyli przed stanem wojennym. Z pierwszej połowy lat 70. pamiętam tzw. „czerwony domek", gdy nie był już powiatowym komitetem PZPR, a jeszcze nie stał się Miejskim Ośrodkiem Kultury w kształcie z lat 80. Zanim rozpoczęto w nim generalny remont i rozbudowę pod potrzeby miejskiej kultury, po których w stanie niezmienionym pozostała w zasadzie tylko charakterystyczna ceglana fasada, w sali widowiskowej odbywały się jeszcze dyskoteki prowadzone przez pierwszych wtedy – raczej domorosłych niż doświadczonych – didżejów, którzy puszczali muzykę rock i pop z taśm, wcześniej zapełnionych krajowymi i światowymi hitami, odtwarzanych na słynnym czterościeżkowym magnetofonie Grundig, podłączonym rzecz jasna do wzmacniacza i dużych kolumn głośnikowych. W tym samym czasie (kwiecień 1973) uruchomiono ideową bojówkę PZPR pod nazwą Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, niemal ze łzami w oczach zaczęto wspominać przodowników pracy z okresu stalinowskiego, aby w ten sposób fetować budowniczych Huty Katowice, a w sierpniu 1974 Breżniew został przez Gierka udekorowany Wielkim Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Czyli hucpa! Gniezno także miało wtedy swoją wielką budowę – następną po WZO „Polania" – szkołę z pomnikiem pierwszych władców, aulę widowiskową i Muzeum PPP, która była nieustającą okazją do partyjnego bredzenia o sukcesach gospodarczych i postępach demokracji socjalistycznej „drugiej Polski". Z tamtego okresu pamiętam także początki świetnego, wielokrotnie nagradzanego i cenionego nie tylko w Polsce Chłopięcego Chóru „Szpaki", którym od początku kierował i dyrygował Wiesław Kiser. Gniezno wówczas dzieliło się na tych, którzy mieli zaszczyt, honor i frajdę śpiewać w „Szpakach", na tych, którym z różnych powodów nie było to dane oraz na tych, których rodzice zabiegali o to, aby ich małoletni synowie mogli w „Szpakach" zaśpiewać, czyli przeżyć największą muzyczną przygodę swojej młodości, która – co nie jest bez znaczenia – w przypadku kilkunastu panów nieprzerwanie trwa do dzisiaj. Oczywiście Chór Chłopięcy „Szpaki" od początku swego istnienia związany był personalnie i salą do prób z gnieźnieńską Szkołą Muzyczną. Do roku 1989 chór dał ponad tysiąc koncertów w około 300 miastach Polski i Europy. W tamtej epoce był to na pewno organizacyjny, artystyczny i wizerunkowy fenomen na mapie kulturalnej Gniezna.

(2 kwietnia) 92

93 (3 kwietnia, niedziela)

Zanim wybuchła wojna polsko-jaruzelska… c.d. Kiedy pod koniec dekady lat 70. otwarto po remoncie i rozbudowie Miejski Ośrodek Kultury, miałem to szczęście znaleźć się w gronie tworzonej niemal od zera ekipie instruktorów merytorycznych, kierowników, pracowników technicznych (elektryk, oświetleniowiec, dźwiękowiec, portierzy), która – jak już wspomniałem kilka stron wcześniej – okazała się zespołem wszechstronnie uzdolnionych osób, a te potrafiły działać na styku przynajmniej dwóch profesji, z czego jedna zawsze okazywała się profesją artystyczną. Co prawda na etacie przetrwałem w MOK-u tylko rok, ale zdążyłem w tym czasie współuczestniczyć w kilku przedsięwzięciach (dzisiaj zwanych projektami), które nie tylko przetrwały próbę czasu, ale także wspominane i pamiętane są po chwilę obecną. Na ślad jednego z tych projektów trafiłem wertując pierwszy nr „Kwartalnika Kulturalnego" (dodatek do gazety zakładowej „Głos Załogi") z marca 1983 roku, w którym na stronie 7, w tekście zatytułowanym „Lubicie jazz? Przeczytajcie!", a podpisanym *dedur*, napisano, cytuję interesujący nas fragment: *Od kilku lat działa na terenie miasta JAZZ-CLUBB „AMOK". Powstał przy MOK na jesieni 1980 roku z inicjatywy Romualda Jastrzębskiego, Zbigniewa Łuczaka, Janusza Ratajczaka i Krzysztofa Szymoniaka. Zajmuje się przede wszystkim działalnością muzyczną, skupiając ludzi różnych profesji i w różnym wieku. Posiada przyjacielskie kontakty z najlepszymi muzykami jazzowymi w całym kraju. Ojcem chrzestnym „AMOKU" jest Janusz Muniak, który wystąpił na koncercie inaugurującym działalność Jazz-Clubu 9 grudnia 1980 r. (...) Z myślą o zainteresowanych, którzy chcieliby włączyć się w prace „AMOKU", podajemy nazwiska członków Zarządu Jazz-Clubu, których należy szukać w Miejskim Ośrodku Kultury. Są to: Romuald Jastrzębski (prezes), Krzysztof Kaczorek (sekretarz), Zbigniew Marcińczyk (skarbnik) i Zbigniew Łuczak (rzecznik prasowy)*. Na tej samej stronie pierwszego numeru „KK" można też obejrzeć fotografię Z. Marcińczyka w rubryce „zdjęcie sezonu". Na marginesie tylko dodam, że w roku 1983 ukazały się cztery numery „KK", a cała ta przygoda wydawnicza skończyła się wraz z moim odejściem w styczniu 1984 r. z „Głosu Załogi". A dlaczego przywołuję tę notatkę? Bo wolę jasne sytuacje od zwierzeń różnych „ojców założycieli". Bo wolę fakty od baśniowej legendy początków gnieźnieńskiego Jazz-Clubu „AMOK".

(4 kwietnia) **94**

95 (5 kwietnia, wtorek)

I stało się, czyli koniec pewnego „festiwalu”. Węgry – 23 października 1956; Czechosłowacja – 21 sierpnia 1968; PRL – 13 grudnia 1981. Za oknem mroźny, zimowy poranek, niedziela, więc nie od razu było wiadomo, co się dzieje. Ludzie nie szli do pracy, a milczenie z rzadka rozsianych po mieście domowych telefonów stacjonarnych (uwaga! internetu i komórek wtedy nie było! za to w całym kraju pojawiły się więzienne „internaty”!) składano na karb jakiejś awarii, co w PRL-u od dawna nikogo już nie dziwiło. Ale ta niepewność trwała krótko, bo w telewizji zamiast Teleranka pojawił się generał Jaruzelski i jego stan wojenny. Miałem wtedy 28 lat i sześć miesięcy życia za sobą, a także młodą żonę, trzyletnią córkę, pracę w redakcji gazety międzyzakładowej „Głos Załogi”, miałem – jak wielu – marzenia, nadzieje, plany, jakieś marne widoki na przyszłość, ale to zawsze coś. Mieszkałem na poddaszu, klepałem biedę, ale wtedy nikomu się nie przelewało, niemal wszystko poza chlebem, octem i musztardą od dawna było na kartki. Dzisiaj można o tym przeczytać w Wikipedii: *1 września 1981 r. system kartkowy objął też mydło i proszek do prania. Po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. system kartkowy był stopniowo rozszerzany na kolejne grupy towarów, m.in. czekoladę, alkohol, benzynę i wiele innych, osiągając zakres znacznie szerszy niż w czasie okupacji podczas II wojny światowej. W szczytowym okresie reglamentacji w PRL jako dowody zakupu stosowano również np. książeczki zdrowia dziecka, w których sklepy zobowiązane były wstemplowywać każdy zakup waty, pieluch, mleka w proszku, masła itp., albo np. pokwitowania z punktów skupu makulatury, uprawniające do zakupu papieru toaletowego w relacji 1 rolka za kilogram makulatury.* Było masakrycznie. Koszmar codziennej udręki trudny obecnie do wyobrażenia… Wódkę i papierosy wymieniałem na jedzenie, do pracy dojeżdżałem komunikacją miejską, bo redakcja gazety mieściła się w biurowcu fabryki obuwia „Polania”. Tam też po kilku dniach dowiedziałem się od sekretarza fabrycznej POP, że jeśli nie zapiszę się do PZPR, to – jako dziennikarz – mogę stracić pracę. Nie zapisałem się. A ponieważ gazeta była zawieszona, to na wszelki wypadek (i za karę) na kilka tygodni oddelegowano mnie do wydziału propagandy komitetu miejskiego PZPR, gdzie musiałem redagować (jako sekretarz redakcji i korektor) partyjne biuletyny informacyjne. Prawdziwy horror i surrealizm. Ale inni i tak mieli gorzej.

(6 kwietnia) **96**

97 (7 kwietnia, czwartek)

I stało się, czyli koniec pewnego „festiwalu”… c.d. O tym, jak wyglądało to gorzej na naszym terenie, opowiedział 13 grudnia 2021 na łamach portalu *gniezno24.com* Ryszard Majewski, który w 1980 r. współtworzył struktury rolniczej „Solidarności” w ówczesnym województwie poznańskim. O gnieźnieńskich realiach stanu wojennego „opowiadała” także wystawa okolicznościowa zorganizowana przez MOK, a poświęcona w całości stanowi wojennemu, czy raczej pamiątkom z tego okresu, jakie pozostały głównie w prywatnych rękach. Na lokalnym portalu można było przeczytać, że podczas otwarcia wystawy – oprócz Marka Szczepaniaka, kierownika oddziału Archiwum Państwowego – głos zabrali *przedstawiciele związku zawodowego, który 40 lat temu padł ofiarą zemsty władz PRL-u. Byli to zarówno zatrzymani w ośrodku internowania, którym na czas stanu wojennego stał się Zakład Karny w Gębarzewie, ale i tacy, którzy na różne sposoby doświadczyli ucisku aparatu Służby Bezpieczeństwa. Na wystawę składają się liczne pamiątki znajdujące się w gablotach, w tym dokumenty, legitymacje, listy, wycinki prasowe, oryginalne transparenty itp., a także próba rekonstrukcji celi więziennej*. Myślę, że równie ciekawe, choć najczęściej po prostu przemilczane, mogły być ówczesne realia na poziomie wprowadzania w Gnieźnie do „zmilitaryzowanych” zakładów pracy komisarzy wojskowych, których najpierw się bano, a potem zaczęto ich lekceważyć i nieoficjalnie wyśmiewać, podsuwając im pod nos hasło „WRON-a skona!”. Chodziło rzecz jasna o Wojskową Radę Ocalenia Narodowego. Jedno jest pewne: w ciągu kilku dni w 49 wojewódzkich ośrodkach internowania umieszczono około 5 tys. osób. W operacji policyjno-wojskowej użyto 70 tys. żołnierzy, 30 tys. milicjantów, 1750 czołgów, 1900 wozów bojowych i 9 tys. samochodów. Poza tym zakazano wydawania prasy, poza „Trybuną Ludu” i „Żołnierzem Wolności”, zawieszono działalność wszystkich organizacji społecznych i kulturalnych, a także zajęcia w szkołach i na wyższych uczelniach, z czasem rozwiązano (lub upartyjniono) wszystkie niemiłe komunistom organizacje społeczne i związki artystyczne, rozpoczęto także weryfikację dziennikarzy prasy, radia i telewizji, a na poziomie miejskich i zakładowych ośrodków i domów kultury plombowano pracownie i ciemnie fotograficzne. Poza tym, trzeba było żyć, chodzić do pracy, oddychać zatrutym powietrzem komunistycznej propagandy i nie tracić nadziei.

(8 kwietnia) **98**

99 (9 kwietnia, sobota)

Właśnie w takich okolicznościach rozpocząłem studia na poznańskiej polonistyce. I trwało się. Chodziło się do pracy. Uprawiało się życie rodzinne. Stało się w kolejkach. Czasem piło się z kolegami kartkową wódkę. Nie myślało się o emigracji. Nie miało się złudzeń, jeśli chodzi o PZPR i ZSRR. Pamiętało się szokujący zamach na papieża Jana Pawła II z 13 maja ’81, widząc w tym rękę sowieckich służb. W połowie 1982 r. przez cały kraj, a więc i przez Gniezno, przeszła fala weryfikacji kadr. Przesiewano po linii partyjnej ludzi w środkach masowego przekazu, w administracji, sądownictwie, prokuraturze oraz szkolnictwie. Zwolnienia z pracy (za brak przynależności do PZPR lub za przynależność do „S”) można było uniknąć, podpisując deklarację lojalności (lojalkę) wobec władz stanu wojennego. Jesienią te władze zaczęły zwalniać internowanych 13 grudnia działaczy, a jednocześnie przez cały rok 1982 pałowano, aresztowano, wyrzucano z pracy, a nawet zabijano (począwszy od 16 grudnia 1981 w kopalni „Wujek”) manifestantów i uczestników strajków oraz wszelkich akcji protestu. Ponieważ nie byłem działaczem „S”, nie roznosiłem ulotek (choć nielegalne wydawnictwa woziłem z Bydgoszczy do Gniezna), nie chodziłem na manifestacje uliczne, bo w Gnieźnie bitwy społeczeństwa z oddziałami ZOMO pod kościołami i w zakładach pracy się nie odbywały, nie groziło mi aresztowanie. Ale jako bezpartyjny dziennikarz i były wyrokowiec z Mokotowa i Potulic za szkalowanie PZPR i ZSRR (o czym gnieźnieńska esbecja musiała wiedzieć) ciągle byłem zagrożony zwolnieniem z pracy. Mając zatem mglistą wizję własnej przyszłości, wiedząc, że sama matura i uzdolnienia literackie czy dziennikarskie nie wystarczą, aby ustabilizować swoją sytuację zawodową, w maju lub czerwcu ‘82 pojechałem do Poznania, by na UAM zdawać pisemny egzamin wstępny na polonistykę o specjalności nauczycielskiej. Na zaocznej polonistyce innej specjalności wtedy nie było. W ramach egzaminu trzeba było napisać prace z języka polskiego i historii oraz zaliczyć test pisemny z języka obcego. Egzamin zdałem, na studia mnie przyjęto, moje zwolnienie z redakcji „Głosu Załogi” przełożono na styczeń 1984, mogłem więc (mimo w zasadzie upiornej beznadziei, jaka wtedy wyzierała z każdego niemal kąta polskiego realu) rozpocząć drogę ku własnej, lepszej przyszłości – opartej jeżeli nie na wizji Polski wolnej i otwartej na świat, to na pewno na wizji własnego rozwoju i konsekwentnej pracy nad sobą.

(10 kwietnia) **100**

101 (11 kwietnia, poniedziałek)

WRON-a skona! PRON – Won! Zastanawiam się dzisiaj, jakim miastem było Gniezno z lat 1982-1983? Zapewne takim samym, jak wszystkie polskie miasta średniej wielkości, w których pierwszy sekretarz komitetu miejskiego PZPR, znany mi z imienia i nazwiska oraz osobiście (tym bardziej że, jak pamiętam, był porządnym człowiekiem) musiał sprawować władzę pod dyktando partyjnego betonu, z jednej strony mając fasadową Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, a z drugiej jeszcze bardziej fasadowy i pozorujący dialog społeczny Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego. Nikogo wtedy nie dziwiły pojawiające się na murach lub ulotkach, a na pewno kolportowane z ust do ust hasła, typu „WRON-a skona!" i „PRON – Won! Interesujące byłoby przypomnienie dzisiaj nazwisk gnieźnian uwikłanych słowem i czynem w realia stanu wojennego i późniejszej „normalizacji", oczywiście stojących po partyjnej stronie barykady (pomijając etatowych pracowników MO, SB, ORMO i ZOMO, bo to było zbrojne ramię partii oraz wszelkiej maści tajnych współpracowników i jawnych szubrawców), którzy wówczas aktywnie uczestniczyli w umacnianiu komunistycznej „praworządności" i socjalistycznej „demokracji". Potem, po roku 1989, ci sami ludzie nagle przejrzeli na oczy, zaczęli chodzić do kościoła, a nawet nosić baldachim w trakcie procesji Bożego Ciała, którzy albo „z obrzydzeniem" rzucali legitymacje partyjne, albo zapisywali się do neo-PZPR, czyli SdRP (a potem SLD), działającej pod wodzą partyjnych młodziaków, czyli A. Kwaśniewskiego i L. Millera. Ci pierwsi dzisiaj udają, że nigdy (mimo przynależności) nie kochali PZPR i ZSRR, a ci drudzy na różnych, coraz skromniejszych neokomunistycznych oficjałkach do dzisiaj kłaniają się Rosji Sowieckiej i okupacyjnej Armii Czerwonej czapką do ziemi. Nie mnie ich oceniać. Ja tylko stwierdzam fakty. Jakim więc miastem było Gniezno w pierwszej połowie lat 80.? Czyli po zniesieniu stanu wojennego, po likwidacji oficjalnych struktur „S", po drugiej pielgrzymce papieża do Polski, po porwaniu przez SB i zabójstwie księdza Popiełuszki, wreszcie po Pokojowej Nagrodzie Nobla dla Lecha Wałęsy, o której J. Urban, niemal powszechnie znienawidzony rzecznik rządu powiedział, że jest to „niewielki epizod w antypolskiej i antykomunistycznej krucjacie". W tym samym czasie rząd PRL wysłał w tej sprawie oficjalny protest do rządu Norwegii. Tak się wtedy „bawiono" po gorszej stronie żelaznej kurtyny.

(12 kwietnia) **102**

103 (13 kwietnia, środa)

Kilka faktów, ku pamięci… Na poprzednich stronach zadawałem sobie pytanie, jakim miastem było Gniezno pod koniec lat 70. oraz po 13 grudnia 1981? Teraz jednak dochodzę do wniosku, że pewne cezury czasowe, gospodarcze i społeczno-polityczne układają się w taki sposób, iż trzeba raczej pytać o to, jakim miastem było Gniezno przed i po pierwszej wizycie papieża w dniach 3-4 czerwca 1979, jakim miastem było od momentu powstania „Solidarności" do wprowadzenia stanu wojennego oraz jakim miastem było Gniezno po zniesieniu rygorów tegoż stanu do upadku komunizmu w roku 1989? Wyczerpująca monografia na ten temat zajęłaby najpewniej kilkaset stron i wymagałaby współpracy przynajmniej kilku sprawnych autorów (nie tylko zresztą historyków), dlatego też, ażeby chociaż dotknąć problemu, zajrzałem do książki „Dzieje Gniezna" z roku 2016, gdzie w rozdziale „Kryzys. Gniezno u schyłku PRL" autorstwa P. Grzelczaka znalazłem garść faktów, które śladowo chociaż wypełnią treścią moje pytanie, mające w zasadzie w tych zapiskach charakter pytania retorycznego. Na początek wróćmy do roku 1975, bo wtedy wielka reforma administracyjna zlikwidowała powiaty, powołując jednocześnie do życia 49 nowych, małych województw. Na terenie Wielkopolski były to województwa: poznańskie, pilskie, konińskie, leszczyńskie i kaliskie. Gniezno utraciło więc swoją powiatowość, trafiło do województwa poznańskiego, ale w zamian – jak inne polskie miasta średniej wielkości z liczbą mieszkańców powyżej 50 tysięcy – otrzymało nowy organ administracji państwowej w postaci prezydenta miasta, który przejął obowiązki i kompetencje dotychczasowego naczelnika miasta i powiatu. Pierwszym komunistycznym prezydentem Gniezna został były naczelnik Zbigniew Kaszuba (do grudnia 1980), potem (od stycznia 1981) nastał prezydent Henryk Jasiński, którego na tym stanowisku (od sierpnia 1983) zastąpił Marian Górny, który kierował miastem do pierwszych wolnych wyborów samorządowych w roku 1990. Natomiast Kazimierz Jankowski, były pierwszy sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR został w tej sytuacji pierwszym sekretarzem Komitetu Miejskiego. Dopiero w czerwcu 1981 zastąpił go na tym stanowisku Jan Maćkowiak, wcześniej dyrektor miejskiej Biblioteki Publicznej. Potem był rok 1979 i pierwsza wizyta Jana Pawła II w Gnieźnie, a do pielgrzymki tej pilnie się przygotowywały od trzech miesięcy lokalne struktury partii i policja polityczna. C.d.n.

(14 kwietnia) **104**

105 (15 kwietnia, piątek)

Kilka faktów, ku pamięci… c.d. W atmosferze narastającego kryzysu gospodarczego obejmującego cały PRL, a więc i zakłady przemysłowe Gniezna, podczas przygotowań do tej wizyty – jak pisze Piotr Grzelczak – władze miasta podjęły decyzję o odmalowaniu ok. 300 elewacji kamienic znajdujących się na trasie papieskiego pojazdu oraz doprowadziły do wyburzenia co najmniej stu szpecących ścisłe centrum miasta prowizorycznych szop, dobudówek i baraków, co wkrótce ogłoszono jako wielki sukces zapisany na konto 35-lecia PRL. Potem na politycznej mapie miasta pojawiła się „Solidarność". W pierwszym składzie (z września 1980) Miejskiego Komitetu Założycielskiego znaleźli się: Edward Popielarz („Polania"), Alfons Łykowski („Spomasz"), Tadeusz Fuszpaniak („Polmo"), Stanisław Grzeszczak („Zremb"), Felicja Jagodzińska (SP nr 1) i Jerzy Wróblewski (POM). Swoją prawdziwą siłę gnieźnieńska „Solidarność" pokazała – o czym wspomina Piotr Grzelczak – 26 marca 1981 w czasie przeprowadzonego z wielkim rozmachem strajku ostrzegawczego. Objął on niemal wszystkie największe zakłady pracy, których załogi niejednokrotnie w 100% podjęły akcję protestacyjną. Od 3 lipca 1981 gnieźnieńska Delegatura NSZZ „Solidarność" funkcjonowała w składzie: Stanisław Grzeszczak – przewodniczący oraz czterej jego zastępcy – M. Kosmala, A. Łykowski, R. Paluszak i W. Rutkowski. Po ogłoszeniu stanu wojennego wrócił dobry nastrój we władzach gnieźnieńskiej PZPR, zwłaszcza, że internowano siedmiu działaczy miejscowej „Solidarności". Nie psuł tego nastroju fakt, że po 13 grudnia w mieście dominowały przed sklepami coraz większe kolejki po wędliny i mięso, a głównym tematem rozmów (także w tych kolejkach) była kwestia podpisywanych (lub nie) przez wielu lojalek, ale i spotkań, na które „zdelegalizowanych" już związkowych liderów „zapraszała" gnieźnieńska prokuratura. Represje polityczne nie zmieniły jednak obrazu społeczno-gospodarczego Gniezna, które borykało się wtedy z przynajmniej kilkunastoma poważnymi problemami inwestycyjnymi. Największą bolączką, oprócz kulejącego budownictwa mieszkaniowego, był w mieście „problem wody", która tylko parę razy dziennie pojawiała się w kranach, natomiast na najwyższych piętrach nie było jej w ogóle. Na długiej liście niedomogów znalazły się także: budowa nowoczesnego szpitala, budowa szkoły podstawowej na Winiarach i zakończenia budowy trasy E-83. C.d.n.

(16 kwietnia) **106**

107 (17 kwietnia, niedziela)

Kilka faktów, ku pamięci… zakończenie. W swoim rozdziale, zamieszczonym w książce „Dzieje Gniezna", Piotr Grzelczak pisze między innymi, że Komitet Miejski PZPR w związku z planowanym na koniec 1982 r. zniesieniem stanu wojennego postanowił sprawować bezpośrednią *„polityczną kontrolę nad działalnością Urzędu Miejskiego oraz przedsiębiorstw, zakładów, spółdzielni i instytucji w celu zapewnienia sprawnego funkcjonowania gospodarki i spokoju społecznego na terenie miasta"*. Niestety, ogłaszanie kolejnych reform i programów naprawczych wprowadzanych na szczeblu centralnym, jak i lokalnym, nie miało żadnego niemal przełożenia na poziom życia obywateli oraz terminową realizację zapowiadanych lub już rozpoczętych inwestycji. Szara peerelowska rzeczywistość rozmijała się z obietnicami partii. W Gnieźnie było tak samo. Dlatego nie może dziwić, że zapowiadany przez lokalne struktury partii komunistycznej mechanizm ręcznej kontroli okazał się skuteczny tylko w jednym wymiarze – jeszcze w lutym 1989 Komitet Miejski PZPR w Gnieźnie w dość jednoznaczny sposób pozwalał sobie pisać do prezydenta Mariana Górnego, przekazując mu do wykonania ściśle określone dyrektywy. Wniosek? Partia traktowała prezydenta miasta niemal jak chłopca na posyłki. Co poza tym mogli zrobić towarzysze z Komitetu Miejskiego PZPR (oraz zakładowi sekretarze POP) po zniesieniu stanu wojennego? Mogli (wykonując zalecenia góry, czyli z KC i KW) inicjować oraz organizować obchody kolejnych świąt i rocznic związanych – jak pisze P. Grzelczak – z historią polskiego ruchu robotniczego, które zazwyczaj nie cieszyły się wśród gnieźnian nadzwyczajnym powodzeniem. Co jeszcze mogli? Mogli – patrząc na to z dzisiejszej perspektywy – nadal rozdawać czerwone szturmówki uczestnikom pochodów 1-majowych, mogli wręczać przodownikom pracy socjalistycznej nic nie warte medale i odznaczenia, mogli na zebraniach i szkoleniach partyjnych bredzić o wiecznej przyjaźni z ZSRR i niezbywalnych zdobyczach socjalizmu, mogli wreszcie (czując nadchodzący koniec tego ideologicznego pajacowania) zacząć rozglądać się za możliwością ucieczki z tonącego okrętu o nazwie PRL na z góry upatrzone pozycje. A tam, gdy już się to stało, mogli zrzucić dawną skórę, przyoblec się w szaty europejskich socjaldemokratów, polskich patriotów, wiernych synów Kościoła i rozpocząć cyniczną akcję uwłaszczania się na majątku narodowym, co też wykonali perfekcyjnie.

(18 kwietnia) 108

109 (19 kwietnia, wtorek)

A teraz tylko dobre wiadomości… Wojna polsko-jaruzelska nie odebrała jednak ludziom chęci do życia. Powodów do radości było mało, ale zdarzały się nisze, gdzie nadal sączył się wolny świat. Takim miejscem okazała się lista przebojów radiowej „Trójki". Niemal dokładnie 40 lat temu, bo 24 kwietnia 1982 wyemitowano pierwsze notowanie *Listy Przebojów Programu Trzeciego*. Zwyciężyła wówczas piosenka „I'll Find My Way Home" duetu Jon and Vangelis, drugie miejsce zajęła piosenka „O! nie rób tyle hałasu" zespołu Maanam, która w kolejnym notowaniu zajęła pierwsze miejsce. Nie wiem, jak Wy (zwracam się teraz do osób z mojego pokolenia), ale ja słuchałem tej listy z małymi przerwami od pierwszego do ostatniego wydania/notowania. Nie wiem, czy w Gnieźnie istniał jakiś Fanklub Marka Niedźwieckiego i jego Listy Przebojów, ale wiem, że gnieźnianie także nieprzerwanie głosowali na utwory z tej listy. Niestety, 38 lat później, w ramach zadymy polsko-pisowskiej notowanie z 15 maja 2020 (nr 1998), w którym wygrała piosenka Kazika Staszewskiego „Twój ból jest lepszy niż mój", zostało unieważnione przez dyrekcję stacji, a strona internetowa prezentująca notowanie nr 1998 została wyłączona bezpośrednio po zakończeniu programu. Dyrektor programowy Tomasz Kowalczewski napisał w oficjalnym oświadczeniu, że „został złamany regulamin i do głosowania wprowadzono piosenkę spoza listy" i że „dokonano manipulacji przy liczeniu głosów". Tego samego dnia Marek Niedźwiecki podał do publicznej wiadomości informację o swoim odejściu z Polskiego Radia, a potem, w ramach obrony swojego dobrego imienia, wszedł na drogę sądową z byłym już pracodawcą. Jak podaje Wikipedia – *w czerwcu 2021 r. media przekazały informacje, że Marek Niedźwiecki wycofał pozew sądowy przeciwko Polskiemu Radiu. Obie strony zawarły ugodę pozasądową i w oświadczeniach przesłanych mediom przekazały, że spór sądowy nie będzie kontynuowany, obie strony postanowiły nie podtrzymywać wzajemnych zarzutów i uważają sprawę za zakończoną. Oświadczyły także, że nie będą jej więcej komentować*. Dla ścisłości dodajmy, że M. Niedźwiecki prowadził w „Trójce" także inne autorskie audycje muzyczne, które zjednywały mu wielotysięczne rzesze wielbicieli i przyjaciół, kształtowały nasze gusta i naszą wiedzę, przyciągały do radioodbiorników niekiedy całe rodziny. Jako dziennikarz muzyczny stał się wzorem profesjonalizmu, elegancji i poczucia humoru. C.d.n.

(20 kwietnia) **110**

111 (21 kwietnia, czwartek)

Dobrych wiadomości ciąg dalszy. Radiowy głos Marka Niedźwieckiego był rozpoznawalny i kojarzył się słuchaczom z wszystkim, co w radiu najlepsze, w radiu dla publiczności myślącej i otwartej na szerokie horyzonty kultury muzycznej Polski i świata. Podobnie było zresztą z głosami i audycjami radiowymi Piotra Kaczkowskiego, Wojciecha Manna i Jana Chojnackiego – symbolami i filarami „Trójki", której już nie ma. Obecna „Trójka", żeby posłużyć się frazą Andrzeja Poniedzielskiego, została sprowadzona do poziomu bardzo popularnego, nadawana jest wręcz dla „inteligentów skompoobjawowych". Cóż, nic nie trwa wiecznie. Dzisiaj Marka Niedźwieckiego i kilku jego kolegów z redakcji muzycznej dawnej „Trójki" można posłuchać w stacjach internetowych: „Radio 357" lub „Radio Nowy Świat".

Drugim takim epokowym i rozciągniętym w czasie zdarzeniem kulturowym, głównie jednak muzycznym, okazała się po zniesieniu stanu wojennego kilkudniowa impreza, która od roku 1983 organizowana była w Jarocinie jako „Festiwal Muzyków Rockowych". Wcześniej był to „Ogólnopolski Festiwal Muzyki Młodej Generacji". Zacznijmy od Wikipedii: *Za czasów PRL Festiwal był rodzajem odskoczni od szarej rzeczywistości i oazą wolności, choć pojawiały się głosy, że jest to celowo zorganizowany przez władze rodzaj wentylu bezpieczeństwa dla sfrustrowanej młodzieży z subkultur. Wykonawcy ci występowali zatem na warszawskim festiwalu Róbrege, który po części miał tych samych organizatorów, jednak był postrzegany jako swoista konkurencja dla festiwalu jarocińskiego. Na festiwalu grano punk rocka, rocka, heavy metal, bluesa, reggae. Uczestniczyły w nim praktycznie wszystkie czołowe zespoły grające tego rodzaju muzykę w Polsce, choć cechą charakterystyczną festiwalu była też scena „alternatywna", na której grały zespoły, które nigdzie indziej nie mogły liczyć na dużą widownię. Festiwal w latach 80. był jedynym miejscem prezentacji niezależnych grup muzycznych, gdzie często ignorowana była cenzura. Było to też jedno z nielicznych miejsc, które zezwalało na nieco większą niż zwykle swobodę w ubiorze, zachowaniu oraz wyrażaniu własnych poglądów. Można było tu usłyszeć zespoły nieprezentowane w mediach, nieposiadające nagrań studyjnych.* W latach 80. wystarczyło powiedzieć, że jedzie się na festiwal do Jarocina i wszystko było jasne. C.d.n.

(22 kwietnia) **112**

113 (23 kwietnia, sobota)

Dobrych wiadomości ciąg dalszy… zakończenie. Festiwal po 1980 roku odgrywał dużą rolę dla świata muzycznego, głównie dzięki festiwalowej publiczności. Dochodziło do częstych (kto bywał, ten wie, bo widział) incydentów wygwizdania grupy muzycznej, obrzucania pomidorami, błotem lub kamieniami. Publiczność festiwalowa nie tolerowała oficjalnie w tamtych czasach promowanych zespołów, czyli komercyjnych i trzymających z władzą. Przyjęcie publiczności na festiwalu często decydowało o dalszych losach zespołu, a jej uznanie owocowało ogólnopolską sławą, z tego też powodu na kolejne edycje grupy przygotowywały się starannie opracowując specjalny festiwalowy materiał. Mimo że laureatom konkursów festiwalowych obiecywano wydanie ich nagrań, co miało być początkiem szerszej kariery, często nie spełniano tych zapowiedzi. Za to amatorskie nagrania koncertów trafiały do tzw. trzeciego obiegu, alternatywnego nie tylko wobec kultury oficjalnej, ale również wobec drugiego obiegu, co wiązało się z dystansem nie tylko wobec władzy, ale i wobec głównego nurtu opozycji. Takie to były czasy. Do najbardziej znanych zespołów, które debiutowały w Jarocinie, można zaliczyć formacje: „Siekiera", „T.Love", „Dżem", „TSA", „Oddział Zamknięty", „Armia", „Izrael", „Dezerter", „Farben Lehre", „Sztywny Pal Azji", „Acid Drinkers", „Closterkeller", „Hey", „Kat", „Moskwa", „Defekt Muzgó". Na te festiwale do Jarocina jeździłem i ja. Raz na początku całkiem prywatnie, drugi raz w 1992 roku z 14-letnią córką i dwa razy jako dziennikarz prasy poznańskiej, czyli jako autor reportaży – w roku 1985 „Przenicować duszę pokolenia" (fot. Zbyszek Marcińczyk i Janusz Ratajczak) i w roku 1988 „Jarocin, druga strona medalu" (fot. Maciej Kuszela). A pamiętacie, jak z Gniezna jeździło się na kolejne festiwale do Jarocina – w pojedynkę i całymi załogami? Głównie wypełnionym po brzegi i po sufit pociągiem osobowym z peronu 3, starym enerdowskim piętrusem, do którego łatwo było wejść, ale i z którego łatwo było wypaść, bo wszystkie drzwi w wagonach zazwyczaj stały szeroko otwarte. Zainteresowanych festiwalem odsyłam do 200-stronicowego katalogu wystawy „Jarocin w obiektywie bezpieki", Warszawa 2004. Książkę można obejrzeć na stronie IPN-u pod adresem https://ipn.gov.pl/pl/publikacje/ksiazki/12276,Jarocin-w-obiektywie-bezpieki.html. Istnieje też PDF tego katalogu. Można go pobrać z sieci: https://docer.pl/doc/x1e0c

(24 kwietnia) **114**

115 (25 kwietnia, poniedziałek)

W styczniu 1984 zostałem bez pracy, a w czerwcu 1986 obroniłem „magisterkę”. Pierwsza połowa lat 80. była dla mnie czasem politycznie burzliwym, zawodowo czasem sztormowym, a życiowo okresem przegranych bitew i wygranej wojny. Zacznijmy od pracy. W monumentalnej księdze „Encyklopedia Gniezna i Ziemi Gnieźnieńskiej”, na stronie 729 widnieje hasło **„życie literackie w Gnieźnie po 1945”**. Oto jego fragment: *Istniejąca przy WZO „Polania” gazeta zakładowa „Głos Załogi”, w 1981 redagowana przez E. Jankowskiego i K. Szymoniaka, wydała kilka numerów „Dodatku kulturalnego”, zawierającego m.in. wiersze, prozę i eseje młodych gnieźnieńskich autorów. Na jej łamach ukazały się krytyczne teksty J. Mikołajewicza i M. Krzyżana na temat kondycji ówczesnej gnieźnieńskiej kultury, co zakończyło się reakcją polityczną decydentów, w wyniku czego K. Szymoniaka pozbawiono funkcji redaktora naczelnego gazety*. Teraz małe sprostowanie: 1) rzecz działa się w roku 1983 i nazywała się „Kwartalnik Kulturalny”; 2) w wyniku tej sprawy, czyli publikacji tekstów krytycznych w 3 numerze „KK”, pozbawiono mnie funkcji pn. redaktor odpowiedzialny (za ów dodatek kulturalny). Reszta się zgadza. Ostatni numer „KK” ukazał się w grudniu 1983, a w stopce napisano: redaguje zespół. Natomiast w styczniu 1984 dowiedziałem się, że z końcem miesiąca nie pracuję już w „Głosie Załogi”. Jednym słowem zostałem bez chleba. W tym samym czasie rozpadało się już moje małżeństwo, więc była to kolejna mała katastrofa. Przegrałem od razu dwie bitwy – pracę i rodzinę. Nie pozostało mi w tej sytuacji nic innego – zwłaszcza że o znalezieniu innej pracy etatowej w Gnieźnie mogłem póki co zapomnieć – jak tylko postawić wszystko na jedną kartę, a było nią dokończenie studiów na poznańskiej polonistyce. Nadal prowadziłem zajęcia w MOK-u jako instruktor godzinowy, zacząłem szukać też innych dorywczych zajęć zarobkowych, także pracy fizycznej na budowach. Czasy po stanie wojennym, a przed całkowitym rozkładem komuny za rządów Jaruzelskiego i Kiszczaka, stanowiły materiał niemal na film sf. Tyle tylko, że to wszystko działo się naprawdę. Było mikro i przykro. Za kilka miesięcy esbecja porwała i zamordowała księdza Jerzego Popiełuszkę. Rzecznik rządu Jerzy Urban kłamał na potęgę, a przy okazji, wyśmiewając sankcje USA za stan wojenny stwierdził, że „rząd się wyżywi”. Dwa lata później obroniłem „magisterkę” na 5, czyli wygrałem wojnę o przyszłość.

(26 kwietnia) **116**

117 (27 kwietnia, środa)

W tak zwanym międzyczasie, czyli muzeum, bidul i gnieźnieńska SP nr 10. Dwa lub trzy miesiące po opuszczeniu przeze mnie „Głosu Załogi" zlitował się nade mną Stanisław Pasiciel, wtedy dyrektor Muzeum PPP, dając mi pracę na pół roku w charakterze przewodnika na Szlaku Piastowskim oraz współpracownika Działu Wydawniczego, gdzie robiłem korekty tekstów. Bywało i tak, że jeździłem w sprawach wydawniczych do drukarni w Warszawie z materiałami ilustracyjnymi do publikacji muzealnych, bo wtedy nie istniał internet i nie wysyłało się zdjęć z komputera w postaci plików cyfrowych. Pół roku szybko minęło, ale był to czas wystarczający, aby polubić to miejsce i nawet zaprzyjaźnić się z dyr. Pasicielem, z którym po 30 latach spotkałem się znowu, tym razem na płaszczyźnie jego zainteresowań rzeźbą ludową, o czym więcej napiszę w październikowym odcinku mojego powrotu do przeszłości. Przypadek sprawił, że niemal z dnia na dzień, po odejściu z Muzeum, trafiłem dzięki Wojtkowi Śmieleckiemu jako wychowawca do Domu Dziecka w Kobylnicy. W ten sposób odbyłem półroczną przygodę z dojeżdżaniem do pracy na linii Gniezno – Poznań. Praca w bidulu to było ważne, choć niezbyt długie, i niewątpliwie pouczające zajęcie. Później, kiedy już przebiedowałem na bezrobociu wakacje/lato 1985 roku – po udanej sesji egzaminacyjnej znalazłem się na ostatnim, czwartym roku polonistyki. Dzięki temu, że miałem w indeksie zaliczony roczny kurs pedagogiczny, jako przedmiot obowiązkowy, oraz dzięki temu, że w trakcie wakacji spędziłem dwa tygodnie na kolonii letniej jako wychowawca, gdzie poznałem dyrektorkę jednej z gnieźnieńskich podstawówek, która wskazała mi wolny etat polonisty w tutejszej oświacie, mogłem 1 września wejść do pokoju nauczycielskiego w SP nr 10 i rozpocząć swoją najsympatyczniejszą przygodę zawodową, jeżeli chodzi o Gniezno. Więcej na ten temat opowiem w zapiskach, które pojawią się w lipcu. Ta piękna historia trwała też tylko pół roku, ale nie dlatego, że ze mnie zrezygnowano lub że się rozczarowałem, ale dlatego, że na początku 1986 roku pojawiła się możliwość pracy w charakterze reportażysty i sekretarza redakcji w ogólnopolskim kulturalno-społecznym miesięczniku „NURT". A wszystko dlatego, że w okresie smuty zawodowej, klepiąc biedę i szwendając się reportersko po Wielkopolsce, opublikowałem na łamach poznańskiego „NURTU" kilka dużych tekstów, które (jak widać) zadecydowały o moim losie.

(28 kwietnia) **118**

119 (29 kwietnia, piątek)

Pamiętam odbudowę pomnika Bolesława Chrobrego i włamanie do Katedry. *Primo* – Pierwsze uroczyste odsłonięcie w Gnieźnie pomnika „Pierwszego Króla Polskiego Bolesława Chrobrego" nastąpiło 30 maja 1929 roku, w której to uroczystości wzięli udział prymas Polski A. Hlond i prezydent RP – I. Mościcki. Mój ojciec miał wtedy pięć lat, więc raczej nie mógł tego pamiętać. Dobrze natomiast zapamiętał zburzenie pomnika przez Niemców wiosną 1940 roku, bo jako 16-letni chłopak stał z innymi w pobliżu i obserwował przebieg zdarzenia; a działo się to krótko przed jego wyjazdem na roboty przymusowe do III Rzeszy. Na początku maja 1985 r. odtworzony dłutem J. Sobocińskiego pomnik Bolesława Chrobrego ponownie stanął przed Katedrą. Proces jego montażu, podekscytowany wagą zdarzenia, obserwowałem wraz z setkami innych gnieźnian i garstką turystów. Gotowy już pomnik, odsłonięty oficjalnie 9 maja, jakiś czas potem dokładnie obfotografowałem – ku pamięci, ale i na prośbę mojego ojca, który wtedy (po przejściu z branży gnieźnieńskiej gastronomii do własnej działalności snycerskiej i rzeźbiarskiej) z powodzeniem i pewnymi sukcesami realizował już swoją główną pasję życiową, czyli usługową i na poły artystyczną pracę w drewnie, między innymi odtwarzając metrowej wysokości lipowe kopie tegoż pomnika. Powstało ich w sumie pięć. *Secundo* – Półtora roku po zabójstwie księdza Jerzego Popiełuszki przez funkcjonariuszy SB, a dokładnie w nocy z 19 na 20 marca 1986 roku, trzej sprawcy włamali się do bazyliki prymasowskiej w Gnieźnie. Ich łupem – jak podaje portal historyczny *dzieje.pl* – padły elementy sarkofagu św. Wojciecha. Przestępcy zniszczyli relikwiarz, zabierając srebrne elementy w tym figurę świętego. Milicji udało się zatrzymać sprawców oraz inicjatora kradzieży. Niestety, część srebrnych elementów zabytkowego relikwiarza z XVII w. została zniszczona i przetopiona. Trzej złodzieje weszli do świątyni korzystając z faktu, że w katedrze prowadzony był remont. Odcięli od relikwiarza srebrną figurę świętego i inne detale. Uszkodzony srebrny korpus świętego ukryli w piachu w pobliżu katedry, a z resztą srebra wrócili do rodzinnego Gdańska. Znalazł go przypadkowo jakiś młody gnieźnianin, długo i namiętnie potem przesłuchiwany przez śledczych. Pamiętam atmosferę tego zdarzenia, bo była to najsłynniejsza kradzież w powojennej historii Gniezna, która błyskawicznie stała się w mieście tematem nr 1.

(30 kwietnia) **120**